

LESZEK ORŁOWSKI

Łódź

Morelowa szkoła przetrwania

Apricot Survival
School

Mój dobry kolega z sąsiedniej wsi, osiemdziesięcioletni lekarz medycyny rodzinnej i ortopeda, znany w okolicy, ceniony i lubiany, od dziecka był rolnikiem. Studiował AWF, kiedy umarł Mu ojciec. Wrócił do Mamy i przeniósł się na zaoczne studia rehabilitacyjne. Potem ukończył studia medyczne. Sesje egzaminacyjne zaliczał w pierwszym terminie, wpadał do domu na czas zasiewów i morderczo pracował w wakacje. W wywiadzie prasowym na temat swojej pracy rolniczej powiedział, że „zna smak potu i zapach ziemi,” a w rozmowie z moją żoną wyznał, że lekarzem jest z wykształcenia, a rolnikiem z zamiłowania.

Pamiętam, że w czasie stażu asystenckiego u profesora Józefa Chałasińskiego w Uniwersytecie Warszawskim pożałowałem, że były trudne, mokre żniwa i niewiele czasu mogłem poświęcić na studiowanie twórczości Floriana Znanieckiego. Dodałem, że nie zamierzam w przyszłości zajmować się gospodarstwem. Usłyszałem: „A co pan zamierza robić jako socjolog?” Na najbliższym zebraniu profesor znalazł pretekst, aby porozmawiać o wartości łączenia pracy fizycznej i intelektualnej. Wspomnił coś o pracy przy żniwach i przypomniał, że Wincenty Witos osobiście wykonywał orkę, również w okresie premierowania. Tą uwagą byłem tyleż poruszony, co i wzruszony. Nie przychodziło mi wtedy do głowy, że przez najbliższe czterdzieści lat będę łączył te dwa rodzaje zajęć.

14 kwietnia 2019, niedziela w Łodzi

Do sięgnięcia po notatnik skłoniły mnie niepokojące wydarzenia tego miesiąca. Najpierw wielodniowe przymrozki na północy Polski, których granica na Mazowszu przebiegała 100 km od Sylwkowych moreli. Drzewa zakwitły 6 kwietnia i przez pierwsze trzy dni była słoneczna i w miarę ciepła pogoda. Potem nastąpiło ochłodzenie. Dzień po dniu na północy kraju temperatura nocą prognozowana była – minus 1 do minus 3 stopni – z uwagą, że przy gruncie miejscami może sięgnąć minus 7 stopni Celsjusza. Najbardziej

denerwowaliśmy się z dziesiątego na jedenastego. Już wieczorem Sylwek widział minus 1. Bardzo dokuczliwe uczucie bezradności, przyprawiająca o ból brzucha świadomość, że już trzystopniowy przymrozek może zamienić nadzieję przychodu ok. 50 tys. zł na stratę kilku tysięcy złotych już wydanych na niezbędne zabiegi nawożenia i ochrony. Sylwek chronił drzewa drogimi preparatami, które miały łagodzić skutki niskich temperatur. Strach w osamotnieniu. Dziennikarze informujący o pogodzie nawet nie napomknęli o nocnych przymrozkach. One nie mają znaczenia w mieście; w nocy na ogół ludzie śpią. Rano ich problemem może być szron na szybach samochodu. Dzień będzie słoneczny, jak to zwykle bywa po nocnych przymrozkach. Ubezpieczenie od przymrozków jest bardzo drogie, toteż Sylwek ubezpieczył tylko kilkanaście arów sadu najbardziej zagrożonego, bo położonego w zagłębieniu. Ubezpieczyciel zawarł w polisie uwagę, że ubezpieczenie obejmuje straty mrozowe, które zdarzą się po 15 kwietnia. Wydane pieniądze były więc już stracone.

16 kwietnia, wtorek w Łodzi

Dramat przedłużył się. Mróz dotarł do Lisowa. Z 14 na 15 kwietnia było minus 2 stopnie. Całą noc zadymiali sad morelowy, by uratować cokolwiek. Dzisiejszej nocy mróz był większy, już minus 5. Znowu pracowali całą noc. Z jakim skutkiem? Tak się złożyło, że kiedy Sylwek z żoną Kasią ratowali przez całą noc morele, w Paryżu strażacy gasili straszliwy pożar katedry Notre-Dame, od 18:50 do rana. Prawdopodobnie spaliły się drewniane konstrukcje dębowe, dzieła sztuki, wiele nieocenionego wyposażenia. Dwa przypadki walki z żywiołem tej samej nocy. Katedra jest dobrem niezwykle kultury francuskiej i światowej; sad morelowy jest prywatną sprawą Sylwów, a pośrednio naszą. Jedno i drugie dramatyczne zmaganie ma wymiar heroiczny. Bierność, bezczynność spowodowały zniszczenie całej katedry, a u Sylwów obumarcie wszystkich kwiatów. To, co zostało po ugaszeniu pożaru, i uratowane zawiązki owoców są oczywistym świadectwem, że w zagrożeniu trzeba walczyć, ile sił i umiejętności. Z powodu tego, co się zniszczyło, jest dojmująca przykreść, ale nie ma wstydu. Pozostaje doświadczenie i pokora wobec natury. To nie poniża człowieka; może wzmocnić.

14 lipca, niedziela w Lisowie

Jesteśmy tu z Krysią już tydzień. Klimat korzystny, śpimy dobrze. Atmosfera nerwowa, usprawiedliwiona; przedłuża się susza. Drzewa pełne owoców, ale małych, bo słabo przerwanych. Mogą nabierać koloru niewyrośnięte. Wszystkie owoce intensywnie rosną w okresie dojrzewania. Wtedy potrzebują bardzo dużo wody. Teraz liście na drzewach ciepłe, lekko zwinięte bronią się

przed parowaniem. Ziemia twarda i już spękana. Dni długie, a słońce praży niemilosiernie. Z dnia na dzień brązowieje trawa i więdną nawet oset i łoboda. W Radiu Kielce śpiewała przed chwilą Małgorzata Walewska. Pomyślałem, że artyści mogą się obejść bez pracy fizycznej, ale ludzie pracy wyłącznie fizycznej bez kontaktu ze sztuką są zubożeni. Interesujący i podobno komfortowy był wiek XIX. Była subtelna sztuka, wspaniała architektura, urokliwy krajobraz, czyste powietrze. Społecznie i gospodarczo było różnie; w Europie rozwijał się kapitalizm, w Polsce trwała pańszczyzna niewolnictwu podobna, w Ameryce prawem usankcjonowane niewolnictwo. Nie mam innego wyjaśnienia dla ilości pracy, jaką Sylwek z Kasią wykonują w gospodarstwie, niż tylko Jego potrzeba bycia niezależnym, samemu sobie wydawania poleceń. Powiedział mi kiedyś, że nie jest w stanie pracować u kogoś. Potrzebę niezależności i wielopokoleniowy kontakt z naturą uznałbym za ważny element kultury chłopskiej. Na przykładzie wsi, którą dobrze znam, mogę odpowiedzialnie powiedzieć, że pracownicy folwarczni uwłaszczeni ziemią przez reformę rolną nie poradzili sobie z samodzielnym gospodarowaniem. Byli pierwszymi chętnymi do socjalistycznych spółdzielni produkcyjnych albo przeszli do rozwijającego się przemysłu i stawali się klasą robotniczą.

Zbiór moreli jest bardzo trudny. Owoce dojrzewają nierówno. Najpierw do zerwania nadają się te z wierzchołków drzew, z końcówek gałęzi. Mają atrakcyjną wielkość i zachęcający kolor. To kolor sprawia najwięcej kłopotów. Inny jest, gdy patrzymy z oddalenia, inny gdy podniesiemy gałązkę, inny w słońcu, inny w cieniu na drzewie, a jeszcze inny po zerwaniu i w skrzynce. W pierwszej fazie dojrzewania kolor nie jest jednolity na całym owocu; ma stronę żółtą, złocistą i bledszą zielonkawą. Te dojrzałe, o jednolitym kolorze, najpierw nieliczne powinny być zerwane jako pierwsze, bo zwykle mają wyższą cenę i ułatwiają wzrastanie owoców pozostających na drzewie. Przegapienie odpowiedniego stanu dojrzałości owocu powoduje, że najładniejsze spadną i zamienią się w „przemysł” lub zmarnieją zupełnie. W upalne lipcowe i sierpniowe dni może się to stać z dnia na dzień. Kończymy dzień pracy z poczuciem ulgi, że zagrożone morele zostały zerwane, a następnego dnia, szczególnie po gorącej nocy, widzimy na drzewach nowe nadające się do zrywania; mamy wrażenie, że wczoraj przegapiliśmy je. Morele muszą być zrywane ręcznie i wykluczony jest zbiór akordowy. Wydajność pracy i jakość zerwanych owoców zależy głównie od postawy zrywającego, a mniej od umiejętności, bo te przy dobrej woli można szybko nabyć. Może być tak, i to nie są wyjątki, że niskiej wydajności nie towarzyszy wysoka jakość. Koszt zbioru wtedy może przekroczyć 30% uzyskanego przychodu. W pogoni za

ilością można w pierwszym etapie zbioru nazrywać owoców jeszcze niedojrzałych, a także uszkodzić lub zerwać krótkopędy z zalążkami przyszłorocznych pędów kwiatowych. One wyrastają niemal z tego samego miejsca co tegoroczne owoce. Kiedy na drzewach dominują owoce dojrzałe, najbliższy ruch powoduje ich opadanie. Trzeba ustawiać się pod gałęzią tak, aby owoce spadały na rozpostarte dłonie, a nie przelatywały przez palce na ziemię. Szczególnego znaczenia nabiera nadzór nad pracą. Musi to być zachowanie taktowne, z osobistym przykładem. W sadownictwie narasta dramatycznie brak pracowników. W sezonie chętni do pracy, a szczególnie znani z solidności są „nietykalni”. W każdej chwili mogą znaleźć pracę porównywalną i nie przyjdą następnego dnia. Do pracy zgłaszają się młodzi ludzie w „gimnazjalnym wieku”. Po kilkuminutowym instruktażu słownym i pokazie zaczynają pracę. Nie rozróżniają owoców dojrzałych od niedojrzałych, mimo że przed chwilą mieli pokazane; nie wychodzą na zewnątrz korony drzewa, gdzie jest więcej dojrzałych owoców, bo słońce tam zbyt dogrzewa. Pozostają pod koroną w cieniu. Przed chwilą słyszeli, że zrywać należy obydwoma rękami po kilka owoców naraz w jedną dłoń. Taki sposób jest niezbędny, aby uzyskać wydajność pokrywającą chociaż ustaloną stawkę godzinową, taką samą, jaką mają sprawdzeni zrywacze. Zrywają jedną ręką, po jednym owocu w ślamazarnym tempie niczym nieusprawiedliwionym. Dostali do dyspozycji drabinki z sugestią, aby najpierw zebrać owoce z górnych gałęzi, bo tam są najbardziej dojrzałe i spadną przy najmniejszym ruchu drzewa. Drabinki stoją niewykorzystane. Jedyną bystrość wykazują w postrzeganiu, że są poza kontrolą właściciela. Przerywają pracę i sięgają po smartfony. Widziałem też zrywanie jedną ręką, a drugą korzystanie ze smartfona. W kilku przypadkach była to pierwsza praca w życiu, wykonywana bez zażenowania.

Wspomniałem już, że oprócz owoców wyselekcjonowanych, konsumpcyjnych, w sadzie zbiera się też owoce zakwalifikowane jako przemysłowe. „Przemysłu” morelowego moi gospodarze sprzedali w tym roku około dziesięciu ton. To stosunkowo dużo w porównaniu z poprzednimi latami. Złożyły się na to dwie przyczyny: obfity urodzaj i słaby popyt na rynku owoców konsumpcyjnych. Zakład przetwarzający, widząc dużą podaż ładnych owoców po niskiej cenie, uruchomił skup moreli przemysłowych. Morele przemysłowe muszą być dojrzałe; ich wartość wówczas jest najwyższa. Dojrzałe w słońcu na drzewie mają smak i aromat niepowtarzalny i nie do odtworzenia w procesie przemysłowym przy pomocy wspomagaczy i dosładzania. Przemysłowe morele pochodzą ze zbiórki pod drzewami i segregacji owoców konsumpcyjnych. Odbiór „przemysłu” musi być natychmiastowy, ponieważ dojrzałe owoce psują się bardzo szybko. O wartości przemysłowych moreli świetnie wiedzą amatorzy morelowego wina

i destylatu; przyjeżdżają do moich sadowników, jakby po węchu. *À propos* wyrzucanych do sadu nadpsutych moreli; do moich dodatkowych obowiązków należało wyprowadzanie gromadki bernardynów z tutejszej hodowli. Wypuszczone z kójców biegły najpierw do wysypanych moreli. Mnie też ten zapach był sympatycznie znajomy.

Jak zmniejszyć odległość czasową i przestrzenną między sadownikiem a konsumentem, aby nie zmarnowało się to co najlepsze? Jak nie oddalać się od natury?

26 lipca, piątek w Lisowie

Wczoraj dowiedzieliśmy się, że w sobotę będą skupowane morele przemysłowe; tylko w sobotę. Mamy w sadzie wzdłuż rzędów żółte dywany opadłych owoców. Trzeba wykorzystać szansę. Uporządkujemy sad i uzyskamy jakieś pieniądze na zapłatę pracownikom. Jutro miały przyjść do pracy bliźniaczki. Sylwek poprosił, by przyjechały jeszcze dzisiaj. Jest godzina 13:00. Dziewczyny przyjeżdżają po ok. 30 minutach. Okazały się w pracy bardzo sprawne; zbierając, wyprzedziły 38-letniego właściciela. We troje zebrali w trzy godziny 800 kg moreli. Około 20:00 Sylwek na traktorze, nie gasząc silnika, myśli, jak pozyskać pracowników do jutrzejszego zbierania. Dzwoni do Ani. Domyślam się, że jest to właścicielka bardzo nowoczesnej plantacji truskawek z sąsiedniej wsi. U niej cały sezon pracuje liczna grupa Ukraińców. Prosi ją o wypożyczenie pracowników do zbierania moreli. Uzgodnili, że wolne będą dwie kobiety, ale one zwykle rozpoczynają pracę o piątej. Sylwek zobowiązuje się, że będzie autem o piątej.

27 lipca, sobota w Lisowie

Dzisiaj morele zbierało pięć osób: dwie Ukrainki, nieco młodsza moja koleżanka z naszej wsi i bliźniaczki. Ja wysypywałem z napelnionych wiader do skrzyń na przyczepie ciągnika i sprawowałem funkcję nadzorcą. Zbieranie szło sprawnie; do południa nie miałem zarzutów do wydajności. Jedna Ukrainka jest nauczycielką nauczania początkowego, znakomicie zna język polski. Przyjeżdża do Polski od 20. lat; ma 10-letni staż warszawski, w tym na Stadionie Dziesięciolecia. Pogadywaliśmy z Wala, nie przerywając pracy. Zapytałem, czy głosowała na Zelenskiego. „Nie głosowałam, bo niski i artysta, może przynieść nieszczęście”. A potem już z własnej inicjatywy mówiła: „Niedaleko od miejsca, gdzie mieszkam, jest bardzo duża plantacja borówki amerykańskiej, ale właściciel jest w rządzie i otrzymał 80% zwrotu kosztów na założenie plantacji”. „Wie pan – powiedziała Wala, kiedy przystanęliśmy odsapnąć w cieniu – pobrali chłopów na wojnę z Rosją na wschodzie Ukrainy, dali im sprzęt niekompletny. To, co było wcześniej rozkradzione

i sprzedane, rozliczono i skasowano na wojnie. Inwalidami nikt się nie interesuje”. Druga Ukrainka, około 60 lat, szczupła, bezzębna, niezwykle starannie zbierała owoce. Nie spotkałem w jej wiaderku zepsutej moreli, mimo że to były w przeznaczeniu owoce przemysłowe. Była świadoma jakości swojej pracy i oczekiwała na moją ocenę, której zresztą nie skąpiłem. Moja koleżanka i bliźniaczki zakończyły pracę o 18:00 (rozpoczynając o 08:00). Ukrainki poprosiły, by mogły pracować do 20.00. Pracowały więc 15 godzin z 30-minutową przerwą. W ostatnich godzinach dniówki zbierały mniej, ale nie miałem uwag do ich postawy w pracy. Było ok. 21:00, już wymoczyłem nogi, kiedy Sylwek poprosił mnie o pomoc. Trzeba było założyć drewniany podest na samochodową ławetę, którą od paru lat transportuje kisteny z porzeczkami. Dźwigamy ten podest i na nim ustawiamy kisteny. Ja na ławecie odbieram od Sylwka i Kasi skrzynki z przemysłowymi morelami i przesyłuję je do kistenów. Po zakończeniu idę napisać notatkę z kończącego się dnia. Sylwek ma jeszcze opryskać grusze preparatem chroniącym przed miodówką. Jest 21:30. Zakończy pracę około 24:00.

31 lipca, środa w Lisowie

Wczoraj zbudził mnie Sylwek o 04:30 i poinformował, że jedzie po Ukraińców. Mam wyprowadzić psy i być gotowym do poprowadzenia zbierania moreli, za pół godziny. Przywiózł trzy osoby: Walę, nauczycielkę już znajomą, i małżeństwo. Ona, Marusia, podobno też nauczycielka, kobieta o dużych gabarytach, kiedyś pewnie zgrabna dziewczyna, miała skłonność do zwalniania tempa pracy, próbowała zbierać owoce, siedząc. Iwan zaś okazał się jako pracownik chętny, dynamiczny, delikatnie traktujący owoce i drzewa. Odgadywał moje intencje i zamierzenia. Pracował nadprzeciętnie wydajnie, więc z Marusią mieli średnią przyzwoitą. Wkrótce Sylwek powierzał mu samodzielne zrywanie. Wykonaliśmy olbrzymią ilość pracy. Przeniosłem na ławetę, wiadrami 900 kg. Drżały mi nogi i pulsowały ręce. Nic dziwnego, że mimo bliskości kilkorga ludzi w sadzie mnie przypomniła się południca. O 13:00 dopadł mnie kryzys fizyczny i psychiczny. Poczułem, że organizm domaga się pracy na jałowym biegu. W tym czasie Sylwek z Kasią przebierali morele zebrane w niedzielę. Odpad bardzo duży. Sylwek oddycha jak ryba i coraz częściej podrapuje głowę. Czas jechać na giełdę. Zjada na stojąco kawałek kielbasy z pomidorem nad zlewem, bo będzie popijał kranówką. Kasia czuje się bliska omdlenia i nie mam odwagi powiedzieć Jej, że nie wrócę teraz do ukraińskiej ekipy. Półtorej godziny wystarczy mi na regenerację i pracujemy do 20:00. Jest godz. 21:50. W Radiu Kielce fragment książki *Pies Baskerville’ów*. Słyszę zdanie: „Byłbym przesądny jak chłopci”. Chłopcy są nadal uosobieniem wszystkiego co negatywne. Najczęściej dają temu

wyraz miastowi, najgłupszy. Chłopi rzeczywiście bywają głupi, ale dlatego, że naśladują miastowych w tym, co najgłupsze i poślednie. Dramat polega na tym, że chłopi, mimo że mają kontakt z naturą, czyli z mądrością, aktywnie wyzbywają się tego kontaktu. Tęsknią potem jak za zdrowiem i to proces na pewno wcześniejszy niż od czasów Jana Kochanowskiego.

3 sierpnia, sobota w Lisowie

Po zakończeniu pracy o 18:00 żegnam się ze współpracownikami. Z Lidką i Ewą mam staż około 30-letni. Pijemy Sopicę na pigwie ode mnie i jeszcze coś słodkiego, co kupiła Lidka, bo akurat są Jej imieniny. Domownikom przygotowuję obiecaną pożegnalną kolację: cukinię, paprykę, cebulę i kielbasę. „O której jedziemy jutro do Łodzi?” – pytam Sylwka. „Jeszcze towar nieprzebrany” – odpowiada. Jest godz. 22:20. Zakończyliśmy ładowanie na busa 2 ton moreli. Na niebie Wielki Wóz, którego w mieście nie widzę i nie szukam. Przypomniały mi się sceny ładowania statków u Conrada. Umieszczam siebie w przestrzeni geograficznej i moralnej. Nie wygląda źle; jak tylko zapamiętałem, po dokuczliwej suszy przychodził ożywczy, pachnący, życiodajny deszcz. Idę do łóżka z Radiem Kielce, a tam: „Słuchasz i wiesz”. Wiem, że my daliśmy radę. Czy dużo wiem?

25 marca 2020, środa w Łodzi

Niestety sprawdziła się prognoza pogody sprzed tygodnia, że nadciągają przymrozki do minus 7 stopni. Już czwarty dzień jest 7- i 8-stopniowy mróz nad ranem. Morele mają czerwone nabrzmiałe pąki, a na niektórych widać już białe prążki kwiatów. Sylwek sprawdza kolor słupków kwiatowych i niestety znajduje sporo czarnych, a więc przemarzniętych. Niepokojące, tym bardziej że ilość pąków na wszystkich drzewach to 30% normalnego stanu. Od jutra ma być już bez przymrozków i zdecydowanie cieplej. Morele zakwitną... A po niedzieli przewidują ponowne przymrozki. „Boli mnie głowa i jestem bardzo zdenerwowany” – usłyszałem od Sylwka w telefonie.

1 kwietnia, środa w Łodzi

O godz. 08:00 zadzwonił Sylwek i poinformował mnie, że właśnie idą spać po drugiej już nocy przepracowanej przy zadymianiu sadu morelowego, aby uratować rozkwitające już pąki, które ostały się po ubiegłotygodniowych mrozach. Wieczorem rozmawiałem z Kasią. „Dochodzimy do siebie po dwóch nocach zadymiania. Przez dwanaście godzin nosiliśmy wiaderka z wodą i polewaliśmy bele słomy porozkładane między drzewami. Wciąż bolą mnie ręce i nogi. Trzeciej nocy już nie daliśmy rady pracować, ale mróz był znacznie słabszy. Podgarnialiśmy tylko tłącą się jeszcze słomę”.

W ubiegłym i w tym roku Sylwek z Kasią zmagają się z tym samym żywiołem natury, mrozem podczas kwitnienia drzew. Potem, jeśli ostanie się jakaś ilość kwiatów, będą oczekiwać deszczu, zerkając na chmurę, czy nie jest gradowa. Jeżeli owoce dojrzeją i staną się towarem, oni będą się niepokoić zbiorem i rynkiem. W ich pracy, jak i w całym rolnictwie, ostateczny rezultat ciągle zależy bardziej od natury, a szczególnie od dostatku wody, niż od czynników ludzkich. Uprawiający rośliny i hodujący zwierzęta czują się związani z naturą i od niej zależni. Oczywiście różna jest ta zależność u człowieka idącego za pługiem ciągnionym przez konia lub obdziabującego ziemniaki motyką a operatorem klimatyzowanego ciągnika czy kombajnu. Trwa postęp cywilizacji technicznej, który rodzi poczucie niezależności od natury i faktycznie poluzowuje z nią związki. Pomniejsza pokorę wobec niej i wzmacnia megalomanię. Pamiętam szkolenie chemiczne dla sadowników. Pan docent kończył szkolenie przepowiednią pracy samobieżnego opryskiwacza bez operatora i sadownika pijącego w tym czasie zimne piwo w cieniu. Tak też reklamuje się teraz chemiczne środki ochrony roślin w telewizji.

Tymczasem świat zaskoczyła epidemia. Kumulują się zjawiska. W telewizji rozmowom z ekspertami, dyskusjom, informacjom towarzyszą te same powtarzane wielokrotnie obrazy służb ratowniczych w ochronnych kombinezonach, maskach, okularach. Za każdym takim powtórzeniem przypominają mi się kombinezony do ochrony przed bronią biologiczną i jądrową, które kazano nam ubierać na ćwiczeniach wojskowych. Przypomina się katastrofa w Czarnobylu, też wiosną. Niewidoczna, nieuchwytna, niewyobrażalna. Też lekceważona i ukrywana na początku, więc naiwni sadziliśmy ziemniaki i maszerowaliśmy w pochodach pierwszomajowych.

Co dzisiaj myślą i czy myślą ci, którzy zaprojektowali i wyprodukowali broń biologiczną i jądrową: intelektualiści, politycy, wojskowi? Jeśli byli pewni, że podziemne fortece, bunkry przeciwiatomowe skutecznie ich ochronią, to przypadek zakażenia Borysa Jonhsona, księcia Karola, podejrzenie o zakażenie Angeli Merkel i Donalda Trumpa, papieża Franciszka tę pewność osłabiają. Ameryka jest centrum pandemii, szczególnie Nowy Jork, w którym jest połowa wszystkich zakażonych.

A jeszcze wiosną w 1974 r. Edward Redliński napisał w „Gazecie Białostockiej”, że świnia w chlewiku chłopskim przeznaczona na przedświątę ubój miała swoje imię, była doglądana, starannie karmiona, poklepywana przez domowników. Dzisiaj setki tysięcy już nie świń, ale trzody chlewnej, nie hodowanych, lecz produkowanych zagrożonych jest afrykańskim pomorem świń. Kiedyś żółciutkie kurczątko spod kwoki karmione najpierw jajkiem ugotowanym na twardo, potem kaszą jaglaną i zbożem z ziarnami chwastów niezwalczanych chemicznie. Dzisiaj fermy z niepoliczalną nie-

mał ilością sztuk drobiu, w ograniczonej przestrzeni, aby nadmierny ruch nie spowalniał przyrostu mięsa. Zapobieganiu chorobom i przyspieszaniu tuczenia służy podawanie antybiotyków. Fermy zagrożone są ptasią grypą. W przypadku pojawienia się wirusa, wybija się całe stada lub zagazowuje. W nowoczesnej, intensywnej uprawie zbóż stosuje się metody oddolną i odgórną. Oznacza to maksymalne nawożenie sztuczne, głównie azotem i odchwaszczanie herbicydami. Ogólnie to antywylęgacze powodujące karlenie roślin. Jeszcze w latach 90. XX w. kończyłem opryski w sadzie grusзовym po opadzie czerwcowym. Nie znałem miodówki grusowej. Dzisiaj szkodnik jest przekleństwem właścicieli sadów grusowych. Najszybciej rozwija się, gdy jest susza i upał. Larwy pokrywają się rosą miodową, która skutecznie broni je przed opryskiem, jak kombinezon medyka przed wirusem. Złowrogo błyszczy w słońcu. Miodówka sytuuje się na odrostach – najmłodszych pędach drzewa. Jej populacja narasta gwałtownie. Ciekłą kroplę miodowej rosy i na czarno plamią owoce i pędy. Następuje zamieranie drzewa. W dziesiątki rośnie ilość zabiegów chemicznych. Szkodnik uodparnia się. Rosną koszty uprawy, zwiększają się pozostałości pestycydów w owocach. Podobnie jest z wielkopąkowcem i przędziorkiem na porzeczkach. Każdy gatunek roślin uprawiany w przemysłowej skali dochowuje się swojego szkodnika, który zmutowany przystosowuje się do nowych warunków. Preparaty chemiczne, niewystarczająco selektywne, i nieprzestrzeganie procedur podczas zabiegów zniszczyły bioróżnorodność, w tym pożyteczne organizmy. Zakłóciliśmy naturalną równowagę. Dostrzegając nieskuteczność zabiegów, zwiększamy dawki. Błędne koło; droga donikąd i coraz dalej od natury. Z Ziemią nie da się porozumieć *online* i użytkować zdalnie. Nie da się też wyeliminować pracy fizycznej. Przeciwnie, trzeba przywrócić jej należyty szacunek i rozumienie bliskie pielęgnacji. Praca fizyczna w kontakcie z Ziemią nie ogranicza rozumu i uczy pokory, którą lepiej mieć wobec natury, niż być manipulowanym przez innych ludzi.

26 maja, wtorek w Łodzi

Dzisiaj w Lisowie spadł grad.